


WŁADYSŁAW BIENKOWSKI



GOSPODARKA LEŚNA
W TATRACH



NAKŁADEM BIBLIOTEKI KÓRNICKIEJ

—
1925



121559

PRZEDMOWA



Nie małą zasługą p. leśniczego Władysława Bieńkowskiego, jest jego rzetelna, spokojna, milcząca niemal praca w czwartej części lasów Tatrzańskich. Dziś na jesieni swego życia może być dumnym, iż w najważniejszej części naprawił to, co zachłanny Niemiec zniszczył. Poprawił las, odbudował przyrodę. A że z lasu pożytek ciągną wnukowie, niech oni kiedyś korzystając, wspomną imię człowieka, który sprawie poświęcił pracę całego życia. Społeczeństwo nasze, władze, gminy i jednostki, nie mają zrozumienia Tatr. Nieliczni prawdziwi ich przyjaciele, to jednak przygodni, tymczasowi turyści, którzy chcieliby niejedno naprawić, niejednemu zapobiedz. Wysiłki ich na papierze. A ci co pracowali naprawdę, miłowali czynami, milczeli, nienawidząc hałasu — to „skąpiec“ Zamoyski, to „odludek“ Bieńkowski.

Publikując myśli i spostrzeżenia p. Bieńkowskiego o gospodarce leśnej w Tatrach, sądzimy, że przyczynimy się do bardziej rozumnego traktowania sprawy lasów Tatrzańskich przez władze i społeczeństwo.

Dr. Henryk Wilczyński

GOSPODARKA LEŚNA W TATRACH

Zmienne były koleje lasów Tatrzańskich. Dawna Królewszczyzna, później tj. od r. 1824 własność PP. Homolaczków, jeszcze później Niemców, w roku zaś 1896/89 kupione na licytacji przez dzisiejszego właściciela Władysława Hr. Zamoyskiego, ofiarowane w najnowszej dobie Narodowi Polskiemu.

Gospodarki leśnej w ścisłym tego słowa znaczeniu w lasach Tatrzańskich do roku 1889 nie było, ani być nie mogło. Brak możliwych dróg do wywozu, a najbliższa stacja kolejowa Kraków, później dopiero Chabówka, uniemożliwiały wszelki zbyt drzewa we wszystkich jego przejawach. Mała tylko część drzewa brana bez planu w formie węgla drzewnego zasilala piece hut żelaznych w Kuźnicach, lub zasilala skromne potrzeby okolicznych wiosek. Po sprzedaniu majątku przez pierwszych nabywców Niemcom, mało naruszane dotąd lasy miały w krótkce paść ofiarą niemieckiej energii. Forsoowano na ulepszenie dróg, postawiono tartak parowy i kilka wodnych, oraz dwie fabryki mialu drzewnego.— Zdawało się, że te zakłete dotąd skarby, odkryte i poruszane niemieckim sprytem, będą źródłem niewyczerpanych zysków. Tu jednak sama przyroda stanęła na straży swych odwiecznych praw. Pogwałcona brutalnie przez człowieka niszczyciela, który tę dotąd nieruszoną

szatę godową zdzierał, a zapewne nie miał zamiaru pokryć ją inną, zemściła się, szląc mu wiatry i korniki, a ta groźba zaprzeczyła rachubom ludzkim. Ustąpili więc niszczyciele zwyciężeni, radzi zawsze na organizmie polskim żywocić, lecz niestety zniszczenie zostało, a rany zadane wówczas przyrodzie, goimy jeszcze do dziś.

W rozpaczliwym stanie kupił lasy Zakopiańskie dzisiejszy właściciel, a kto nie widział stanu tych lasów w owym czasie, ten o gospodarce tu dziś, mówić nie powinien. Tu składa się tyle nieprzyjaznych czynników przeciw najlepszym chęciom człowieka, że wszelkie założenia racjonalnego gospodarstwa stale są przekreślane. Ostry klimat, krótki czas wegetacji, przymrozki wczesne i późne, za wielkie opady śnieżne, znaczne oddalenie od podstaw zbytu i brak robotnika, i wiele innych nie tylko przeszkadzają w pracach, lecz je uniemożliwiają.

W r. 1896 sporządzono plan gospodarczy dla całego majątku, ale krótko on służył bo tylko dwa lata. W r. 1898 wiatry halne wyróciły w jednym dniu 32000 sztuk drzew, w cztery lata później 15000 drzew: unicestwiły więc odrazu plan gospodarczy. A gdy w r. 1911 - tym okiść śnieżna zniszczyła około 1000 ha. drzewostanów różnego wieku, od tego czasu nierobiono już zrębów regularnych, ale etaty roczne ograniczano tylko na uprzątymaniu leżących lub połamanych drzew.

Wiadomo, że im większa podaż tem tańszy zbyt, a robocizna z natury rzeczy musi być droższa, prócz strat na technicznej wartości materiałów. Przezorność

p. Zamoyskiego kazała w chwili gdy plan gospodarczy był gotów, nie pobierać całego etatu rocznego obliczonego na 12000 metrów kub. z jednego rewiru, ale tylko 8000 i dzięki temu zapasy drzewa w stojących drzewostanach wcale nie ucierpiały. Jego też inicjatywie zawdzięczać należy budowę drogi do M. Oka, przez co każda nadwyżka materiałów w lesie może być zużytkowana dla dobra ogółu. A jeżeli mimo wszystko część niewyrobionego a nawet wyrobionego materiału ulega zepsuciu w lesie, to wpływa na to czas niedogodny tak do wyróbki jak i wywózki, bowiem tak za małe jak i za duże opady śnieżne są w różnej mierze niekorzystne, co też i do słotnego lata odnosić trzeba. Jesteśmy zresztą zależni od dobrej woli woźniców dyktujących nieraz ceny dowozowe ponad wartość danego drzewa. To też Zarząd dóbr zakupił pewną ilość koni do wywózki materiałów, by tę szkodliwą zależność niwelować.

Podobnie ma się rzecz z wyróbką w lesie. Okoliczni włościanie zbyt dużo mają innych korzystniejszych zarobków, by pracować w lesie, trzeba więc sprowadzać robotnika z dalszych powiatów, co oczywiście podraża koszta, ale i z wieloma kłopotami jest połączone.

Nie można też pominąć trudności przy odnowieniach i pielęgnowaniu drzewostanów. I tu żywioly dyktują nam swe prawa. Kultury możemy rozpoczynać dopiero w pierwszych dniach maja, zatem do tych robót mamy w najlepszym razie 18 dni czasu, co z dniami świątecznymi, jarmarkami, i słotą dochodzi do połowy czerwca. Ludzi do tych prac możemy dostać dopiero po ukończeniu zasiewów rolnych, które jak np. w bie-

żącym roku ukończono w pełni dopiero około 20-go maja. Czas wegetacji bardzo krótki, gdy już we wrześniu przyroda do snu się układa. Przymrozki późne na wiosnę, a wczesne jesienią, niszczą prawie co roku tak materiał pielęgnowany w ogrodach leśnych, jak i sadzenie lub siewy na zrębach. Był nawet wypadek pewnego roku, że 22-go czerwca mróz owarzył pędy młodników kilkumetrowej wysokości.

Ileż to razy w taki sposób nadzieje i rachuby leśnika przekreślone zostały! Nie wiele też robi się z trzebieżami. Czas letni a tak krótki, nadający się do takich prac jest aż nadto zajęty innymi bardziej koniecznymi pracami, a gdy na robotnika z najbliższej okolicy liczyć nie można, obcy robotnik zaś sprowadzony do takich robót podrożył by koszta uzyskanych ztąd użytków przygodnych do niemożliwości. Zresztą na takie drobne sortymenty drzewa zbyt jest znikomy. Trzebieże nadto muszą być prowadzone pod ścisłym dozorem straży leśnej, zatem muszą być wykonywane na własny rachunek, sortowane i ułożone w odpowiednie stopy, a gdy nie uda się tego zaraz zpieniężyć, to po pewnym czasie namakają tak wilgocią, że o pozbyciu mowy już niema.

Wojna światowa wytrąciła całą gospodarę zawsze tu trudną do reszty z równowagi. Nie tylko względy natury finansowej, ale co gorsze moralnej, — czynią dziś stosunki z ludem bardzo ciężkie. Zuchwalstwo oparte na bezkarności, zanik poszanowania cudzej własności, brak wszelkiego poczucia obowiązkowości w pracy lub służbie, stawiają gospodarza leśnego w stan

bezradny. Skutki więc tej wojny wytworzyły lub spotęgowały dziś wszystkie te ujemne dla prawidłowej gospodarki warunki, a ukoronowaniem tego stał się kornik, znajdując wszystko dla siebie dogodnie, by rozmnożyć się do stanu katastrofального. Korniki żywocą wszędzie w lasach szpilkowych, to rzecz wiadoma. Dopóki jednak pilne oko leśnika i należyte rozumienie rzeczy czuwają nad jego rozwojem, tam wszelkie owady szkodliwe lasom nie rozmnożą się do tyła, żeby mogły zagrażać w poważnej mierze egzystencji większemu zbiorowisku drzew. Gdy jednak czy to przez nieuwagę, czy z braku wiadomości o życiu owadów wogóle, pozwoili się im rozmnożyć po nad właściwą miarę, wówczas wskutek nadzwyczajnej zdolności rozmnożenia się owadów, sprawa przybiera obrót krytyczny.

Lasy Tatrzańskie przeżywały już takie katastrofy, a to u schyłku gospodarki owych niemieckich żydów właścicieli, rzucających w paszczę parowego tartaku dziesiątki tysięcy kłoców, pozostawiając wszystkie odpadki, jak wierzchołki drzew lub całe drzewa niezdatne do tartaku, na zrębach nieokorowane; dano więc kornikom obfity żer, że rozmnożyły się w potworne ilości, zagrażając egzystencji lasów Tatrzańskich. Komisje ówczesnego Namiestnictwa galicyjskiego wysyłane na miejsce orzekły dwa razy, że lasy Tatrzańskie nie są do uratowania, czyli skazane na zupełną zagładę. W tym więc czasie oddał Rząd Austr. na podstawie tak jawnej dewastacji lasów do dóbr Zakopiańskich należących, nadzór fachowy nadleśniczemu ze Sącza P. Jerzemu Jaroszowi, zamykając równocześnie gospodarkę właścicie-

lom. Wysiłek i celowe zarządzenia jakie przedsięwzięto w tym czasie dla tępienia kornika dały rezultat po kilku latach pomyślny, bo rozkładając w zagrożonych miejscach liczne drzewa pułapkowe, a to około 13.000 sztuk rocznie, zakazano przytem wszelkich zrębowych cięć, a przeprowadzając we właściwym czasie korowanie opadniętych drzew, przy równoczesnem usuwaniu wszelkich odpadków, zatamowano dalszy groźny rozwój kornika.

W r. 1892 przy objęciu posady leśniczego w Wydziale Bukowina - Brzegi miałem sposobność oglądać po pierwszy raz w życiu tego rodzaju cmentarzysko. Dana mi przytem była sposobność podjęcia tej walki w dalszym ciągu, gdyż ogniska kornikowe aczkolwiek mniejsze, wybuchały jeszcze bez przerwy i nie chciały łatwo ustąpić z placu walki.

Inwazja kornika dzisiejsza datuje się od r. 1916. Powoli lecz stale kornik niehamowany należycie, lub z przyczyn wojny bardzo słabo, rozpanoszył się już w r. 1918 tak, że uważałem za potrzebne napisać o tem w „Sylwianie“. Groza potęgowała się głównie tem, że kornik pojawiał się nietylko w jednym rewirze, ale objął lasy całego Podtatrza od Jaworzyny Spiskiej aż po Witów, przytem wszystkie ekwiwalenty leśne włościańskie. Te ostatnie chociaż małe, budziły obawy poważne, i jak się pokazało usprawiedliwione. Opieszałość włościan niepomna rad prywatnych, ale głucha nawet na zarządzenia Władz, formalnie hodowała kornika. Może dla tego, że to się działo w „Polsce ludowej“ i „za sejmem ludowym“. Niestety mogliby i oni wskazać palcem na podobne przykłady...

Zarząd dóbr Zakopiańskich sprowadził już w r. 1916 jeńców Rosyan, po tych byli Serbowie, w końcu oddział czyli grupa robotnicza żołnierzy austr., wszystko to ale mało pomagało wobec ważności zadania. Równocześnie, tj. w r. 1916 tym mieliśmy pod jesień dwa wiatry halne które przyczyniły pracy, a co gorsze zawailły drzewami tak wyrobione już materiały, jak i wszystkie drogi do wywozu tychże. Jasnym jest że kornik z tych trudności naszych skwapliwie korzystał. Rok 1919 był najfatalniejszym, bo jeńców wszystkich cofnięto, a nasi robotnicy chociaż już byli, to tylko przy zapewnieniu im żywności pracować chcieli, a tej nie można było nigdzie zakupić. Dopiero w r. 1921 udało się wydestać dwa wagony żywności, a przytem i kilkunastu obcych ludzi. W następnych już latach do dziś odbywa się wyróbka a przytem i niszczenie kornika forsonnie i z widocznym skutkiem. Że mimo wszystkich zabiegów, kosztów, i wytężającej czteroletniej pracy, opartej na wszelkich naukowo doświadczonych sposobach walki z kornikiem, nie można jeszcze dziś powiedzieć, że jest on już zniszczony, ale należycie opanowany, to przyczyną tego są warunki zewnętrzne, niezależne od decyzji Zarządu dóbr. To jest, że np. gniazda kornikowe po stronie Czecho - Słowacyi nie były i nie są albo w należyтым czasie zwalczane, lub też sposób tępienia korników był raczej pomocą do ich rozmnożenia. Lekko-myślność w tym wypadku dochodziła tak daleko, że Władze polskie postanowiły dyplomatycznie przypomnieć pobratymcom ich powinność.

Do trudności gospodarki w lasach Tatrzańskich

zaliczyć także trzeba istniejące tu jeszcze serwituty, rozliczne enklawy włościańskie w pośród lasów dworskich położone, i powtarzające się szczególnie od ostatnich lat kilkunastu lawiny śnieżne. Do owych to hal, nadanych włościanom w dawnych czasach przez Królów polskich, przypędzają oni na lato swe bydło i owce, zawsze w większej ilości niżby stan gleby, zatem produkcja paszy, na to pozwala. Nie porzeba długo dowodzić, że bydło i owce często głodne, idą z chęcią za wskazówkami pasterzy do sąsiednich dworskich lasów, bo tam można łatwo na jakiś zrab natrafić, to i biesiada gotowa. A bydło i owce posiadają tu tak trafną orjentację, że nawet w nocy trafiają tam, choćby pasterze spali.

Przy regulacyi serwitutów w r. 1872 powstał pewien kardynalny błąd, że za paszę dawniej w całych dworskich lasach uprawnioną, lub pobór budulcu i opału, wydzielono włościanom pewne kawałki lasu do ich hal czy polan przytykające, na własność, zaś prócz tego oznaczono im prawo paszy na pewnej przestrzeni dworskiego lasu również w bliskości tych hal. Powstał zatem nowy serwitut, tylko na bardziej skoncentrowanej przestrzeni prowadzący do ruiny tych lasów.

W takich więc kawałkach lasów, gdy potrzeba otworzyć nowy zrab, czyli wyciąć pewną przestrzeń, to właściciel może to uczynić ale tylko w jednej trzeciej części powierzchni, a od dnia wyrębu względnie zalesienia uprawnieni do paszy tracą to prawo do lat dwudziestu. Po tym terminie, bez względu w jakim stanie stan zalesienia się znajduje, wraca prawo paszy napo-

wrót. Tak jest na papierze, ale w rzeczywistości zręby takie niszczone są w dzień i w nocy. To też o prawidłowym zalesieniu w takich miejscach mowy być nie może, a młodniki tam rosnące mają w najlepszym razie 0.4 zadrzewienia. Gdy się jeszcze zważy, że hale są przecież już powyżej lub na samej granicy wegetacji drzew, a te kawałki lasów tam jeszcze żywocące powinny już być lasami ochronnymi w najściślejszym tego słowa znaczeniu, trudno się dziwić, że zjawisko obniżania się granicy wegetacyjnej w ogóle, parte prawami fizyki i chemii dąży w Tatrach aczkolwiek powoli — ku dołowi; gorzej że człowiek wspomaga to w daleko żywszym tempie, zresztą różnice w tym względzie już się poważnie zarysowały.

Prócz szkody, jakie czynią owce i bydło na halach, to należy jeszcze wspomnieć, iż tam, gdzie się owce pasą giną doszczętnie młode zalesienia jodłowe, a nadto większość leśników sądzi, iż murszenie świerków należy przypisać kaleczeniu korzonków świerka przez ostre raciczki owiec i kóz. Istotnie w lasach tatrzańskich drzewa zmurszałego jest bardzo znaczny odsetek, a w miejscach gdzie owce dłużej przebywają, chorobie tej drzewa świerkowe ulegają na znacznej przeszczeni, tak, iż nieraz całe wyręby świerkowe pozornie nadające się na budulec, po ścięciu okazują wartość opału i to lichego.

Nie na całym trzonie lasów Tatrzańskich podobne stosunki są do zanotowania, ale w każdym razie są, a być niepowinny. Że pasza bydła i owiec w halach stanowi czynnik ważny i nierozłączny z całością gospo-

darstwa ludności Podhalańskiej, to udowodniać zbyt ciężkie. Jest atoli jeden moment godny uwagi, że spotykamy się tu wprost z manją hodowania nadmiernej ilości bydła, bez żadnej kalkulacji gospodarczej lub rachunkowej. I zobaczymy jeszcze krytycznie te hale, te pastwiska tłoczone co lata tysiącami racic, jednym i tysiącami szlakiem w deszcz i pogodę. Czy pomyślał kto o jakimś spoczynku choćby co roku naprzemian, by to liche zadarnienie utrzymać jak najdłużej?

Dziś słyszy się dość często wzmianki, że na tej lub owej hali jeszcze przed laty dwudziestu żyzna była i obfitsza pasza, a dziś bez pomocy sąsiednich lasów, w sposób legalny lub inny, hale musiałyby zredukować ilość bydła i owiec, bo wystający drobny żwirek z pomiędzy traw i płytkiej darni nietylko jałowi trawy, ale je wprost niszczy.

Coraz też więcej widzi się biegnące od góry na dół białawe smugi z wyraźnym już piargiem: są to przyszele żleby, któremi lawiny toczyć będą nieubłagane zniszczenie.

Gdy się porówna nasze stosunki na halach, z takimi np. w górach Szwajcarii, wyższymi od naszych Tatr, chociaż geograficznie lepiej może położonemi, lecz w każdym razie warunki fizyczne są tu i tam jednakie, to widzimy tam pewien ład i system, widzimy troskę o przyszłość, i zarazem zapobieganiu złemu, o ile to tylko w ludzkiej jest mocy. Jest tam wysiłek także, ale i zrozumienie, że jedna krowa lepiej żywiona da za dwie mleka i nawozu; u nas rozchodzi się tylko o ilość sztuk, by zadowolili dumę gazdy. Tam sztuczne

nawozy wiezie lub niesie się do hal, by silniejszym porostem traw wiązać i użyźniać skąpą glebę, i mieć to, co naprawdę paszą nazwać można. Kiedyż u nas będzie inaczej?! Że ciasno jest już na halach włościanom może posłużyć dowód, iż przed kilkunastu laty próbowano zuchwały i ryzykowny krok podpalania kosodrzewiny na górach, dla uzyskania rzekomo większych przestrzeni do paszy. Proceder ten przeprowadzano następująco: W dniu, w którym po poprzedniej kilkodniowej pogodzie uważano, że trawy i zioła rosnące między kępami kosodrzewiny dobrze wyschły, delegowano ze strony interesowanych przezornie pastucha umyślowo upośledzonego, i takiemu nakazano podpalenie kosodrzewiny tuż nad granicą dworskich „ochronnych“ lasów. Wybie-rano jednak chwilę, gdy wiatr wiał silny południowy, by pędził ogień od lasu do szczytów gór. Jak bardzo niebezpiecznym eksperymentem były tego rodzaju plany, tłumaczyć nie potrzeba. Trzy razy podobne próby wydarzały się, napędzając strachu i kłopotów w uru-chomieniu ludzi do akcji ratunkowej tem trudniejszej, że do najbliższej gminy jest kilka kilometrów drogi. Szczęściem kończyło się to wszystko bez szkody dla nas, a bez pożytku dla interesowanych, bo kosodrze-wina nie przepaliła się, a płonące trawy wypaliły nawet korzonki darni aż do skał, tak że pastwisko zostało na zawsze stracone. Dochodzenia żandarmerji zapo-biegło dalszym tego rodzaju próbom. Jeśli mowa o ogniach w lasach, to dużo obaw nastroczają turyści, zwłaszcza chodzący bez przewodników.

Miło jest w prawdzie odpocząć w lesie przy

ognisku choćby nawet w śród skwarne go dnia, a jeszcze przyjemniej, gdy można zagotować wodę na herbatę lub odgrzać konserwy. Ale turyści mało, lub wcale nie obeznani z lasem sądzą, że w lesie wszystko wolno. Dla nich las to jest miejsce gdzie rosną drzewa, poziomki i grzyby, to przecież nie żadne planty Krakowskie gdzie nie wolno strzelać do drzew z rewolwerów, lub rozrzucać zatłuszczone papiery. Zapalenie więc ogniska pod kępą drzew na ich korzeniach, lub osmalenie gałęzi, to rozrywka dla człowieka żadnego wrażeń, wszak po to przyjechał do gór.

Lawiny jak już wspomniano od r. 1911 powtarzają się prawie co roku. Nad Morskiem Okiem widzimy białe lite skały, odarte zupełnie z kosodrzewiny i darni, a co roku więcej ich i szersze.

Nad Wodospadami w Roztoce całymi morgami młody las świerkowy wyłamany, a szlakiem tym będą niezawodnie i w przyszłości lawiny się powtarzały, gdy jedyna zapora jak drzewa rosnące jest już usunięta. Widocznem jest, że świerczyna tam już się nie utrzyma, a może będą musiały być obmyślane jakieś sztuczne zapory, by przynajmniej pokrywą kosodrzewiny uratować. Ciekawem jest, dlaczego teraz od lat kilkunastu lawiny tak często i niszcząco się powtarzają, gdy dawniej w tych miejscach co dziś albo wcale ich nie było, albo nader w rzadkich odstępach czasu. W każdym razie nikt z ludzi winy tu nie ponosi, bo nie było uskutecznione tu żadne gospodarcze działanie, któreby najmniejsze przypuszczenie o jakimś błędzie nasunąć mogło.

Na odnowienie lasu czyli t.z. kultury kładziemy tu szczególny nacisk. Nie mieliśmy przed wojną nigdy żadnych zaległości, chyba wyjątkowo jakiś mały kawałek zrębu, z którego nie zdołano na czas uprzętnąć materiałów. Ponieważ panującym gatunkiem w lasach Tatrzańskich jest świerk, zatem i odnowienia robi się świerkiem, tak siewem jak i sadzonkami. Zbiór nasion staramy się uzyskiwać z własnego zbioru, o ile świerki obrodzą, co u nas z reguły co 7. lat następuje. Nie każdy taki okres można wyzyskać, zdarza się bowiem że przed dojrzaniem szyszek spada śnieg, i utworzy okiść nie opadającą przez dłuższy czas, a w takim razie zbiór przepada bez użytku większego. Samosiewy uzupełniają wprawdzie mniejsze halizny pośród drzewostanów, lecz na obsiewy takie naturalne w szerszym zakresie liczyć nie można, gdy w świerkowym lesie zrębów obsiewnych, zwłaszcza w obec panujących tu wiatrów halnych zakładać nie można. Jeżeli się więc uda szczęśliwie pozyskać własne nasienie świerkowe, to mamy przynajmniej przez trzy lata własne zapasy. Siewy staramy się wprowadzać przeważnie po stronie północnej danego nachylenia terenu, sposób zaś siewu skuteczniamy w tak zwane talerze, lub na bardzo kamienistym gruncie pełnym rzutem. Korzystamy też z każdego innego gatunku drzewa który sam się zasieje, jak np. olsza na mokradłach, lub jarzab na kamienistych miejscach, bodajby tylko gleba nie próżnowała, i zasiłała się zwolna próchnicą z opadanych liści i innych odpadków.

Sadzonki produkujemy w ogrodach leśnych, a to

albo zostawiając siewki nieprzesadzone do trzech lat na grzędach, poczem służą jako rozsadki wprost na zręby, albo siewki po dwóch latach, rozsadza się w ogrodach na grzędy, a po drugich dwóch, czyli czteroletnie używa się na zrąb. Sadzonki takie o ukształconej naleźycie koronie i korzonkach przyjmują się łatwiej, a zrąb zasadzony takimi sadzonkami nie wykazuje żadnych luk, nie potrzeba też żadnych później poprawek. Używanie zaś sadzonek nie przesadzanych poprzednio w ogrodach leśnych wykazuje konieczność dosadzania w drugim a nawet trzecim roku. Wprowadzany też na zrębach pewien procent jodły z uzyskanego własnego nasienia, wysianego zaraz po zbiorze w jesieni do ogrodów leśnych, o ile tylko szyszki są, i czas bez śniegu pozwala na zebranie tychże. Prócz świerka i jodły wprowadzamy jawora, lecz ten ogryzany bywa przez zwierzynę, a bardziej jeszcze przez owce, gdy ukradkiem pasterze wpuszczą je na zręby.

Prócz dominującego liczebnie świerka, rosną w lasach Tatrzańskich w pewnym słabym odsetku jodły, nie sięgając jednak powyżej 1000 mt. pionowego zasięgu. Mamy też parę większych kęp modrzewia wprowadzonego z ręki, rodzimych modrzewi przynajmniej po północnej stronie Tatr — niema. Sosna wprowadzana tu dawniej niema racji bytu, i jakkolwiek rośnie z początku szybko, ale w wieku około lat 40-tu bywa od okiści niszczone, tak że ją usuwać się musi. Limba, ten klejnot na wysokich górach, jest reprezentowaną w paruset egzemplarzach starszych osobników. Ale gdy rośnie przeważnie na terenach należących

z racji hal do spółek włościańskich, jest przez nich zabierana. Wprawdzie władza polityczna zakazała pod surową karą zabierania limb właścicielom spółek na halach, znajdują oni zawsze tyle sposobności i sprytu zwłaszcza w tak odległych miejscach, że kontrola nad tem jest prawie niemożliwa. Dotąd nie udawało się nam zbierać z tubylczych limb nasienia, ptactwo tak skrętnie uwinie się co roku z na pół ledwo dojrzałymi szyszkami, że o zbiorze mowy niema. Sprowadzamy jednak nasienie obce, a to po wypielęgnowaniu sadzonek w ogrodach daje materiał do rozsadzania na właściwych miejscach, jak dotąd z dobrym skutkiem.

Z liściastych najwięcej mamy jarzębiny, tego pocziwego gatunku idącemu tak na rękę człowiekowi, jak gdyby myśli jego odgadywał. Nietylko przyczynia się do przerwania jednostajności w lasach szpilkowych, bawiąc oko kwiatem, i barwnym owocem służącym za pożywienie niedźwiedziowi i rozlicznym ptakom. Choć to podrzędny gatunek drzewa, ochraniajany jest, bo w miejscach kamienistych, gdzie z trudnością tylko mógłby inny jakiś gatunek być wprowadzony, jarząb obsiewa się sam, a stanowić może niejako podplon użyźniający glebę przed innym szlachetniejszym gatunkiem w przyszłości. Brzoza obsiewa się u nas bardzo skąpo, jedynie w wyższych położeniach tworzy pewne kępy o pokręconych przez napór śniegów pniach i koronie. Pozostaje jeszcze podkreślić ważność kosodrzewiny. Jak mądrze przyroda rozmieściła wszystkie swe twory, daje się wyczuwać patrząc na te tak rozległe kobierce zakrywające nagość skał. Gdyby nie bór kosówki, po-

wiedziałbym, człowiek nie odgadywałby życia w tak wysokich górach, panowałaby dzikość nie łagodzona niczem. Nawet powietrze nie byłoby tak balsamicznem, ale drażniącą powonieniem rozkładających się kamieni pleśnią. Nie żąda ona dla rozwoju swego zupełnie pomocy — człowieka, chce tylko, by korzystał z niej w bardziej idealny sposób, a nie z pomocą siekiery. Potężną jest w swem majestacie, nawet żywiołom oprzeć się potrafi, jedynie człowiekowi posłusznie ulega, gdy spodoba się mu mieć z jej życia olejki lub popiół.

Wyprowadzenie płodów leśnych z lasu odbywa się przeważnie w zimie na wysokim śniegu, zakrywającym trudne do przebycia w lecie kamieniste drogi. Byłoby niewątpliwie wielce pożądanem utworzenie pewnej sieci dróg możliwych na lato, lecz ten ciągły głód za robotnikiem i nadmierne koszta, plany te z roku na rok odsuwają. Wiele też dróg leśnych służy z tytułu serwitutów do hal włościańskich, oni jednak nie poczuwają się wcale do pomocy choćby płatnej, by drogi dla swej wygody naprawić. Konserwatyzm pojęć, że czego dziadkowie nie robili to i wnuki nie potrzebują, jest tak silnie zakorzeniony, że każdą najpotrzebniejszą nowość przyjmują z niedowierzaniem, że może to „podrywka“, któraby nałożyła urojone uciążliwości wygody lub porządku, choćby nawet przeczuwali, że synowie i wnuki będą ich za to błogosławić.

Słowo jeszcze o faunie Tatrzańskiej. Prócz kozic, świstaków, sarn, zajęcy, lisów, i niedźwiedzi, a z ptaków: głuszcy, cietrzewi, jarząbków i orłów, jako tubylców odwiecznie tu mieszkających, — w nowszych czasach

przybył jeleń, wprowadzony i hodowany w zwierzyńcach na dużą skalę przez Ks. Hohenlohego w Jaworzynie Spiskiej.

Kiedyś przed laty może sześćdziesięciu były tu i wilki, niewiedzieć czy stałe, lub tylko przechodne, ale ślady tak zwanych „wilczych dołów“ w różnych miejscach w lesie, do których je łapano, oprócz ginących już dziś coraz więcej legend o nich — świadczą, że wilki były, i że je tępiono.

Jelenie, jak wspomniałem wprowadzone w Jaworzynie, zanim je tam ogrodzono i zamknięto w zwierzyńcach, rozeszły się swym zwyczajem po okolicy, część więc została i w naszych lasach. Za gościnność, każdy myśliwy powie bardzo pożądaną, — płaciły w ten sposób, że czyniły liczne szkody tak w lasach jak i na polach włościańskich, za które Zarząd Dóbr jako dzierżawca polowania sownie płacić musiał. Gdy na rykowisko wychodziły od nas stale ku zwierzyńcom, bo i towarzystwo było liczniejsze więc i zabawa weselsza, a nie zostawiały nam tej satysfakcji by można było i u nas jakieś trofea zdobyć, zdecydowano, że tym tak poważnym ale szkodliwym gościom należy na wszelki sposób gościnności odmawiać. Bo, że bogaty amator może pozwolić sobie na poważne szkody w swym lesie by dogodzić szlachetnej pasji myśliwskiej, to rzecz jego zapatrywania. Ale gdy rozchodziło się, by te gołoborza zniszczone wandalizmem kupieckim pokryć roślinnością drzewną jak najprędzej, a pielęgnując ją, oddać kiedyś potomności, w stanie nie rzucającym cienia na przeszłość, musiano wybrać jedno z dwojga:

las, albo jelenie. Jak wielkie szkody potrafią jelenie wyrządzać w lesie, niechaj posłuży następujący obrazek: Drzewostan świerkowy lat 30, przetknięty z naturalnego obsiewu jodłą, należało już przetrzebić, przy czem jodła miała pozostać jako środek oporu przeciw wiatrom. W dwa tygodnie po uskutecznionej trzebieży zauważono, że wszystkie jodły na powierzchni około 15-tu ha. zostały bądź ogryzione z kory nieraz dookoła strzały drzewa, bądź miały zdarte pasy kory, wiszącej jak wstęgi po drzewach. Na razie jodła była szczególnie wybierana, ale później było to samo i ze świerkiem tu i owdzie po całym lesie, i z jarzębiną, która okorowywana była całemi kępami. Okazy takich szkód posłano zaraz do Wyższej szkoły lasowej we Lwowie. Innym razem zrąb świeżo zasadzony o pulchnej glebie wyglądał nazajutrz tak, jak gdyby tam szwadron kawalerji ćwiczenia odbywał. Że na tym podobne ofiary nie chciano pozwolić, to zrozumie ten, kto może uprzytomnić sobie trudności gospodarki w Tatrach.

Zwierzyna wogóle ucierpiała czasu wojny bardzo. Brak należytego dozoru, wskutek pójścia w pole większej części straży leśnej, później dezertery chroniący się po lasach i szałasach, a budzący paniczny strach wśród resztek straży, jaką się przygodnie ze starych osobników rekrutowało, dokonało reszty. Jelenie w Jaworzynie tak dotąd szanowane, zasilały już wagonowo jatki rzeźne w Wiedniu. Przyzwyczajone do regularnej i wydatnej paszy, gdy tej zabrakło, dziesiątkowane były chorobami tak, że na ogół została ze stanu około

1200 sztuk, zaledwo dziesiąta część. Co do sarn, to te dzięki ustawie łowieckiej przeforsowanej w swoim czasie w sejmie galicyjskim, rozdrabniającej okręgi polowań gminnych, i dającej możność i zachętę kłusownictwu już na wielką skalę, — znikają coraz bardziej tak, że tygodniami sarn się nie spotyka. Ustawa chroniąca niegdyś kozicę, siłą faktu upadła, gdy terytorja polowania gminnego rozciągniono do ostatnich krańców katastru gminnego, zatem i tereny z kozicą włączono do tych polowań, a tem samem skazano kozicę na zagładę. Kłusownicy dawniej posługiwali się tylko strzelbą gładką, nie czynili też takich spustoszeń jak dziś, gdy już wszyscy używają tylko broni kulowej, nawet lepszych systemów, sięgającej daleko, co w górach ma znaczenie fatalne. Społeczeństwo nie reaguje ani w jednym wypadku na podawane potrawy w hotelach czy pensjonatach ze znoszonych obficie sarn i kozic. Radzę, by turyści lub miłośnicy fotografowali przy każdej okazji widzianą kozicę lub sarny, bo wkrótce pokolenia młodsze, o tych gatunkach zwierza uczyć się będą tylko z obrazków.

Do stałych mieszkańców Tatr należy jeszcze i niedźwiedź. Jest pewnikiem, że zakłada on tu swoje „gawry“ na sen zimowy, i tu mnoży się, ale i jego panowanie niedługo będzie skończone. Nie obserwowano nigdy większej ilości niedźwiedzi podczas lata jak sześć. Zwykle jedna samica wyprowadzała co roku dwoje młodych, stąpających obok niej w gromadce aż do jesieni, reszta chodzi osobno. Gawrę opuszczają zwykle w drugiej połowie lutego, i zaraz udają się na

południowe stoki Tatr, prawdopodobnie ze względu na łatwiejsze znalezienie i zdobycie żeru, i tam przebywają do lata, mniej więcej do czasu dojrzwania owsów. W tym czasie powracają do nas, zapuszczając się na polany niżej położone, a nawet w pobliże domów, o ile tylko czują dojrzwający owies, mają też obfitość pożywienia w dojrzałych już borówkach, i opadłych koralach jarzębiny. Zdarza się, że i wcześniej wracają na północne stoki, a wówczas nie mają jeszcze wielkiego wybcru w pożywieniu, bo owoc jarzęba jeszcze na drzewach, po który sięgają łapami przyginając gałęzie, lub wylazą wprost na drzewa, co kończy się zwykle połamaniem lub wywróceniem drzew. Nie rzadko czynią też spustoszenia w stadach pasących się owiec na halach, nie przeto by były w stanie naraz dużo zabić owiec, ale owce wystraszone zeskakują ze skał nieraz o wysokich ścianach, zabijają lub kaleczą się na miejscu. Groźny ten na pozór i ponury zwierz, nie jest jednak dla człowieka bezpośrednio niebezpiecznym. Nie zdarzyło się, by przy spotkaniu z człowiekiem zdradzał on jakieś krwiożercze zamiary, a jakkolwiek nie należy do zbyt płochliwych, to na widok człowieka usuwa się zaraz pomrukując zlekka, lub zmyka wprost jak zając. Zaczepiony, gdyby np. chciano złapać młode bawiące się pociesznie jak szczeniaki obok matki, z natury rzeczy mógłby stać się niebezpiecznym. Taki wypadek zdarzył się pewnego razu istotnie, gdy jeden z borowych szukając w gąszczach mocno pokaleczonej niedźwiedzicy przez kłusownika, — będąc pewnym że ona już nie żyje, — natknął się na

młodego „piastuna“. Odłożył więc strzelbę, serdak i torbę myśliwską, zamierzał go złapać. Niedźwiedzica matka, obserwując prawdopodobnie to wszystko z gąszczu, rzuciła się nagle na borowego, przewróciła go, a nietknąwszy ani jednym pazurem, zębami tylko i widocznie z lekka przytrzymywała go na ziemi. Że przy tej okazji poraniła go tylko trochę na głowie, rękach i nodze, to mógł to istotnie do cudów policzyć. Szczęściem, jego pies przybiegłszy po chwili, a zoczywszy małego niedźwiadka zaatakował go; w tej chwili stara odbiegła borowego by ratować małe. Skorzystał z tego borowy i uciekł do najbliższych domów, z kąd go osłabionego przywieziono do jego domu.

Fantazja ludu umie na ten temat dużo opowiadać, wysuwając rzekome bohaterstwo swoje na pierwszy plan. Niedźwiedź był u nas stale ochraniały. Było wprawdzie kilka razy większe na niego polowanie, ale za czas 30-tu lat padły tylko dwa. Ile ich przypłaciło życiem kosztowanie cudzego owsa, to otem nic pewnego powiedzieć nie można, są tylko głuche wieści, bo solidarność ludu takich spraw nie zdradza.

Myśliwstwo jak wiadomo nastęca mnóstwo faktów, i jest nieprzebraną skarbnicą mniej lub więcej ciekawych wypadków, przeżyć, doświadczeń z życia zwierząt łownych i t p., ale są i takie, które niewidziane nawet, ani osobiście nie przeżyte, mogą być puszczane w obieg, zwłaszcza w obec słuchaczy mało krytycznych. Ponieważ niniejszy opis niema zadania szerszego traktowania działu łowiectwa w Tatrach, ograniczyłem opowiadanie o tem do ścisłego związku

z lasem, bo „łaciny“ w znaczeniu myśliwskim nie lubię.

Nieodłączną, prawie trzecią siostrą lasu i myśliwstwa, jest rybołówstwo. W Tatrach, tak po wschodniej jak i zachodniej stronie są rzeki na których prawo rybołówstwa dzierżawi Zarząd dóbr. Główną pobudką dzierżawy tego rybołówstwa było, by stan tak szlachetnych gatunków ryb jak pstrąg i łosoś zaszanować, a nie dawać w niepowołane ręce dla kupieckiej tylko spekulacji. O samym użytkowaniu tego prawa nie wiele powiedzieć można, gdy na użytek własny korzysta się z tego prawa tylko w bardzo nielicznych wypadkach. Natomiast otrzymują pozwolenia od czasu do czasu niektórzy amatorzy wędk, o których prawdziwie sportowem przekonaniu i znanstwie w tym kierunku, Zarząd dóbr jest przekonany. W miejscach gdzie rzeka Białka tworzy granicę między Czecho — Słowacyą a Polską, możemy użytkować prawo tylko do połowy czyli do środka rzeki, zatem i rybołówstwo jest podzielone. Czesi w pierwszym zaraz początku sąsiedztwa z Polską wytłukli granatami ręcznymi co tylko we wodzie żyło, stan więc ryb dziś jeszcze nosi tego widoczne ślady. Tow: Rybackie wpuszcza co roku po kilkanaście tysięcy narybku łososia do górnego biegu rzeki Białki, czy ma to skutek dodatni, trudno odpowiedzieć. Sprawa dozoru jak każda inna w górach jest trudną, gdy chętnych do łowienia ryb tak na sposób legalny jak i przeciwnie, jest zawsze za dużo.

Nie od rzeczy będzie podać choćby w krótkości daty naszych warunków klimatycznych. Wzniesienie

najniższe Wydziału leśnego Bukowina Brzegi jest 850 mt, a dochodzi do 1600 mt. nad p.m.

Średnia roczna ciepłota wacha się od $-| - 3.2^{\circ}$ C. do $-| - 6.8^{\circ}$ C., czyli że przeciętną roczną ciepłotę można przyjąć najwyżej $-| - 4.4^{\circ}$ C. Maximum ciepłoty w miesiącu czerwcu za powyższy czas notowano raz $-| - 29.0^{\circ}$ C. a najniższe w tymże miesiącu raz $-| - 2.0^{\circ}$ C.

Czas wegetacji 6 miesięcy w ciągu roku.

Opady roczne notowano najniższe 852 mm.; najwyższe 1799 mm. W bieżącym roku było w maju 6 dni bez deszczu, w czerwcu takich dni 9. Opady śnieżne notowano na miejscu neutralnem, tj. stosunkowo wolnem od większego zwiania lub nawiania, najniższe 17 cm. (r. 1920), a najwyższe 133 cm. (r. 1907) przyczem nierówności śniegu tj. zasy dochodzą w miejscach wywozowych do 2.5 mt. wysoko.

Śnieg w postaci stałej pokrywy zaczyna się około 3/10, ostatnie zaś wytajenie około 12/5.

Wobec tak niezwykłych warunków dla gospodarki leśnej u nas, trudno nie uznać, że wysiłek pracy leśników jest tu nadzwyczaj ciężki. Że do warunków takich trzeba się tak fizycznie jak i moralnie przygotować i dostosować, a skala wymagań musi też być zgoła inną, żaden też szablon nie może tu być wskaźnikiem. Ta surowa przyroda ma jednak swoje promyki tem jaśniejsze, jeżeli dany człowiek potrafi i chce w tej otwartej księdze czytać, jeżeli pracę swą nie uważa za niewolnictwo tylko, ale za ostatni wyraz konieczny powołania i obowiązku swego, bo to jest ważną cegiełką w gmachu budowy społecznej. Dziś

gdy pracujemy już dla własnej wolnej Ojczyzny nie wolno inaczej myśleć, a miło jest spojrzeć po za siebie i widzieć, że ta przez szereg lat własnym znojem zasiloną pracą potwierdza sama to, czego nie wolno słowem opowiedzieć.

Władysław Bieńkowski
leśniczy

W listopadzie 1924.

ERRATA

Str. 5. w. 3 zamiast 1896 ma być 1889.



BIBLIOTEKA KÓRNICKA

121559